Rozmaitości

Dnia 27. Maja Nr 21. 1837 Roku.

KRWAWY SKARB.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy.)

II.

Kto nie zna Krzeszowic, kto nie zna téj pięknéj, czarującéj wioski, opasanéj romantycznémi wzgórzami, rzuconéj jakby umyślnie na wzór dla poety, jeżeliby chciał opisywać cuda naszéj ziemi — ten nie dziw, że cudzoziemskie widoki przenosi nad swoje. Skały nagie i góry lasem porosłe, tworzą ramy tego krajobrazu, który dzierzgany kwiatami, ocieniony runami bujnych drzew, to jak suknia baletniczki, migający blaskiem strumyków, wodospadów, wydaje się sztuką haftowanego axamitu, gdy go rozwiniesz pod słońce. Szczupłość téj ustroni pomnaża jéj wdzięki. Oko od razu obejmie te dziwy, ucho od razu usłyszy jéj melodyję. Zgoła nic nie brakuje temu lubemu siedlisku, ni wdzięku, ni potęgi, ni świeżości. Myślałbyś, że Bogu podobało się całą garścią wysypać tu cuda przyrody, które gdzie indziéj rozsiał potrosze.

Piękna ta wieś leży trzy mile od Krakowa. Siarczane wody tutejsze odkrył doktor Leonhardi, około r. 1780. Wojewoda ruski Czartoryski, ówczesny dziedzic, kazał tu wznieść niektóre budowle dla chcących używać kąpieli, ale ostatnie upiększenie i wygody dziełem są Izabelli Lubomirskiéj, marszałkowéj koronnéj. Kąpiele te w okresie naszéj powieści wielce były używane, i weszły niejako w modę, bo nawet i ci, których wabiły zagraniczne wody, chętnie szukali zdrowia i rozrywki w ojczystych Krzeszowicach.

W chwili, gdy znowu chwytam nić naszéj historyi, goście używający kąpiel zebrali się byli pod cieniem kasztanów i lip przy Foxalu, miejscu zgromadzeń i rozrywek — i zabawiali się: mężczyzni pogadanką, kobiéty robótkami; gdy w tém pani Bonar z córką swoją pojawiła się w ich gronie. Pani Bonar, mieszczanka krakowska, gdzie, co często lubiła powtarzać, przodkowie jéj bywali rajcami, należała do rzędu owych poczciwych matek, których wszystkie czynności, wszystkie myśli mają cel jeden, a na których czole mógłbyś wyczytać: *córka na wydaniu!* Jeszcze dość młoda po śmierci swego małżonka, umiała ze swego wdowieństwa utworzyć sobie tak osobliwe stanowisko w społeczeństwie; a jéj nieszczęścia i jéj cnoty stały się niejako własnością publiczną. Gdy córki jéj podrosły, zręcznie użyła powszechnéj opieki, jaką ją zaszczycano, aby trzy starsze najkorzystniéj wydać za mąż; lecz kiedy kolej przyszła na czwartą, doznała trudności, o jakich nigdy się jéj ani śniło. Dom jéj, dla młodych chłopców na ożenieniu, stał się drugą smoczą jamą; widzieli oni, jak trzech tam weszło, i nie wróciło na świat; dla tego też stronili od niéj jak od zapowietrzonego domu. Na próżno pani Bonar pokazywała się na balach, na tańcujących herbatach, na próżno wywodziła dzieje swego rodowodu, nikt się nie trafiał. Ostatnią nadzieję chciała odszukać przynajmniéj w wodach Krzeszowickich. W kąpielach, gdzie umysły niczém nie są zajęte, łatwiéj się jest rozkochać, niż gdzie indziéj; ta uwaga skłoniła panią Bonar, iż ze swoją Klementyną od kilku tygodni tam zjechała... Pozdrowiwszy po nazwisku każdego gościa z osobna, i wypytawszy się o wszystkie ich rumatyzmy, spazmy, kurcze i paraliże, zajęła miejsce, które zrobiono dla niéj i dla nieodstępnéj córki, a rozmowa, przybyciem jéj przerwana, potoczyła się na nowo.

»W rzeczy saméj,« mówiła pewna otyła dama, zaledwo mieszcząca się na dwóch krzesłach, »postępowanie téj panny Gordon bardzo jest osobliwe. Tak młodéj panience przybyć tu saméj — z jakimeś rodzajem guwernantki! do czegoż to podobne?«

»Wcale się temu nie dziwię,« pochwyciła obok siedząca dama w rozumieniu o sobie, że zna obyczaje angielskie, albowiem mąż jéj, chodzący z pszenicą do Gdańska wiele jéj o Anglikach rozpowiadał; »o, nie dziwię się, trzeba bowiem paniom wiedzieć, że panna Gordon, łubo jest Polką, wszelako wychowała się w Anglii; a tam taki zwyczaj, że Angielki podróżują albo same, albo jeźli im się podoba z kochankiem.«

»Co za niemoralność!« zawołała pani Bonar.

»A któż jest ów pan Korybut, który jéj wszędzie towarzyszy? Ona utrzymuje, że to przyjaciel ich domu; ależ na przyjaciela zbyt on uprzejmy, i wygląda raczéj na czułego *adonisa*.«

»Trochę za stary.«

»Starce też najwięcéj przepadają za kobiétami takiego charakteru; ów pan Korybut ciepły być musi staruszek?«

»Co za hańba!« wykrzyknęła pani Bonar, »jam tylko biédna wdowa, lecz gdybym miała córkę, jak ta panna Gordon, o wtedy!...«

»Zbyt surowo sądzicie,« przerwała dama, któréj mąż znał Anglików; »w Anglii są inne obyczaje, inne życie, jak u nas...«

»Wątpię czy tam obyczaj, aby każda kobiéta była kokietką. Nie zawróciłaż ona głowy panu Zorianowi, temu wzorowi młodzieży, który mógłby niejednę dobrze wychowaną osobę uszczęśliwić?«

»Ciszéj mówmy,« ostrzegła otyła dama, »otoż i on.« Ludwik Zorian w rzeczy saméj pojawił się na rogu ulicy lipowéj. Zbliżywszy się wolnym krokiem, pozdrowił całe grono, i nic nie rzekłszy, usiadł na osobnéj ławeczce.

Pani Bonar, to odzywając się kaszlem, to obracając się ku niemu, to robiąc dla niego miejsce między sobą a córką, odważyła się nakoniec wprost go zaprosić; lecz Zorian grzecznie odmówił. Pani Bonar uraziła się.

»Obecność pańska,« rzekła, »w naszém gronie o téj godzinie — jest niespodziéwaną łaską; zdaje mi się, że o téj porze zwykłeś towarzyszyć na przejazdkę pannie Gordon. Dlaczegoż dziś ta odmiana?«

»Panna Gordon uprzedziła mię wczoraj, że dziś rano nie wyjdzie z domu.«

»Więc zmieniła zamiar,« rzekła otyła dama, »bo oto od Tęczyna powraca ze swoim nierozdzielnym panem Korybutem.«

Zorian zerwał się z miejsca. W rzeczy saméj panna Gordon na pięknym anglezie przyczwałowała aż pod wystawę Foxalu. Postrzegłszy Ludwika spłonęła rumieńcem; jakby z przestrachu skoczyła ze siodła, i wbiegła do pałacu, nie czekając już swego towarzysza. Korybut zdziwiony, pojrzał do koła, niby badając przyczyny tego jéj pomieszania, lecz na widok Zoriana, stojącego w osłupieniu i z pobladłém licem, zrozumiał o co gra idzie, i wznosząc ramionami w znak nieukontentowania, już wchodził we drzwi, gdy Zorian ścisnął go za rękę: »Darujesz pan,« mówił ze wzruszeniem, »lecz chciałbym z nim sam na sam pomówić.« Twarz Korybuta wypogodziła się, zdawało się, że pragnął tego kroku: »Gotów jestem na jego rozkazy.«

Obadwaj zapuścili się w głąb lasku. Uszedłszy paręset kroków, Zorian się obejrzał, a widząc, że byli sami: »Zapewne,« mówił, wstrzymując kroku, »wćpan wiész, co mię ku niemu sprowadza?«

»Zdaje mi się, że zgaduję.«

»Zatém nie musi być panu tajną, ani moja miłość dla panny Gordon, ani nadzieja, jaką mię natchnęła przyjmując moje zabiegi. Nie znając stosunków nadających wćpanu prawo do jéj zaufania, tyle wiém, że we wszystkiém słucha twojéj porady. Od wćpana więc będę żądał sprawy z jéj postępowania. Kiedym się starał ją wybadać, zmieszała się, nazwisko twoje do jakiejś niezrozumiałéj wtrąciła odpowiedzi; łzy jéj wzbroniły mi dalszych pytań. Chciéj mię panie oświecić, zkąd taka nagła w niéj zmiana od czasu, jakeś tu przybył; dla czego Zofija mię unika, i dla czego, na przykład, uprzedziwszy mię, że dziś nie będzie na przejazdce, dla ciebie zmieniła swój zamiar?«

»Dużo zapytań na raz,« odrzekł zimno pan Korybut. »Co się tycze dzisiejszéj przejazdki, chciałem z nią na samotności pomówić, i ułożyliśmy sobie pojechać ku Tenczynowi.«

»Więc Zofija mię zwiodła?«

»Powiedz raczéj, że odmówienie chciała

tém niewinném kłamstwem osłodzić. Użalasz się, że nie tak blizko jest z tobą, odkąd tu przybyłem; lecz zastanowiwszy się, uznałbyś, że nim uczyni wybór, od którego zawisło jéj życie, powinna wprzód poznać czego się ma obawiać, a czego spodziéwać.«

»Nie wiém, czy go rozumiém,« odrzekł Zorian rumieniąc się, »lecz jeżeli chodzi o szczegóły tyczące się méj osoby, gotów jestem dać one.«

»Słucham tedy.«

»Jestem rodem z Litwy, i dobry szlachcic. Ojciec mój zginął pod Mozajskiem w stopniu majora. Osiérocony, bez majątku, słuchałem chirurgii w Wilnie, i wszedłem jako chirurg do wojska w Królestwie; od półtora roku porzuciłem tę służbę. Co zaś do mego majątku...« Tutaj głos Zoriana stawał się drzący... »o tém najłatwiéj się przekonać: mam 400.000 złp. na banku rządowym.«

»Wszystkie te szczegóły wielkiéj są wagi dla panny Gordon; lecz nie są dostatecznémi, gdy z jednych ust tylko pochodzą.«

»Mości panie!« zawołał Zorian, »to zniewaga!«

»To roztropność.«

»Pominąwszy to wszystko, jakiémże prawem pytasz mię wćpan o te drobnostki? Jak daleko rozciągasz swą władzę nad panną Gordon? A wreszcie, kto sam jesteś taki?«

»Jestem przyjaciel czuwający nad jéj szczęściem, i nic więcéj.«

»A jażbym teraz nie miał prawa powiedzieć, że ta odpowiedź z jednych tylko ust słyszana, nie jest dla mnie dostateczną?«

»Mości panie,« rzekł Korybut wyniośle, »sam mię zaczepiłeś; nie żądałem od ciebie ani zwierzenia się, ani dawania wiary mym słowom; mogłem zadawać ci pytania, nie czując się winnym odpowiedzi. Jeżeli ci się nie podoba to wzajemne nasze stanowisko, tedy rozmowa ta do niczego nie doprowadzi.«

Po tych słowach Korybut pozdrowił Zoriana z zimną grzecznością i powrócił do Foxalu.

Gdy już był u wnijścia, Zofija przypatrująca się z okna rozmowie jego z Zorianem, wychyliła głowę, aby odgadnąć z rysów starca, jaki jéj skutek; lecz zapewne nic nie wyczytała pomyślnego, bo złożyła ręce i głowę zwiesiła na piersi. Korybut rzucił na nią spojrzeniem słodkiego spółczucia, i rzekł po cichu: »Bądź spokojną dziécię, wszystko może się jeszcze zrobić.«

III.

Zorian, zostawszy sam jeden, z razu chciał pobiedz za starcem i żądać od niego tłumaczenia się z ostatnich jego wyrazów; lecz zaniechał zamiaru, z obawy, aby nie zerwać stosunków z Zofiją. To co od niego usłyszał, nie mogło dawać słusznego powodu do zwady, albowiem mowa starca więcéj tchnęła dumą, niż obrazą; uległ więc okolicznościom.

Odkąd nagła fortuna, któréj źródło znane naszym czytelnikom, zaświtała Zorianowi, natychmiast opuścił był służbę chirurga, i postanowiwszy używać życia, szukał jego rozkoszy w podróżach po Niemczech, Szwajcaryi, i pod pieszczoném włoskiém niebem. Wracając z Wenecyi, gdy przybył do Krakowa, znalazł go nadzwyczaj pustym, i nie wiedząc, jak się lepiéj rozerwać, wpadł był do Krzeszowic, ożywionych licznémi gośćmi. Pod ten czas zjawiła się tam i panna Gordon. Uderzony pięknością, czystą i spokojną duszą młodéj dziewczyny, korzystał z owego towarzyskiego pożycia, jakie panuje zwykle w kąpielach, i zbliżył się do niéj. Zofija wychowana od piérwszych lat w Angii, a od nie dawna przywieziona do Polski, gdzie miała blizkich krewnych, bardzo źle się wyrażała w ojczystym języku. Zorian umiał cokolwiek po angielsku. I z téj i z drugiéj strony objawiona chęć ćwiczenia się wzajemnie w tych dwóch językach, ważnym była powodem nie tylko blizkiéj i poufnéj znajomości, ale nawet odłączenia się od reszty gości.

Dwoje tych młodych osób oddało się całkiem wzajemnéj nauce. Zofija rozwijała wszystkie przyrodzone bogactwa swego rozumu i serca; Zorian nie posiadał się z radości, odkrywając w niéj tyle zachwycających przymiotów, i odtąd zrobił rozbrat z każdą rozrywką, z każdém zgromadzeniem, gdzie pięknéj Zofii nie było. Wziąwszy sobie za punkt honoru obeznać ją nie tylko z językiem prawdziwéj jéj ojczyzny, ale nadto oswoić z światem wyobrażeń narodowych, czytywał z nią dzieła naszych wielkich poetów i historyków. Jakże często myśl jakiego autora natrącała im szérokie pole do własnych postrzeżeń i rozumowań, które wychodząc często z obrębów gramatyki lub estetyki, wpadały w krainę marzeń i uczuć, tak niebezpieczną dla dwojga młodych w samotności. Nie wiedzieli sami jak i kiedy z ogólnych

pomysłów przeszli do zastosowania onych, z ideałów w rzeczywistość. Kilka tygodni czasu wystarczyło na wszystko, a kiedy Korybut przybył, już sobie otwarcie byli wyznali, że się kochają.

Zjawienie się starca zmąciło pokój ich szczęśliwości. Panna Gordon przedstawiła go Ludwikowi jako przyjaciela swojéj rodziny, którego kochała i czciła, jak ojca, lecz nic więcéj nie spomniała o stosunkach, łączących ich obopólnie. Dla tego też Ludwik nie był rad temu, gdy spostrzegł, jaką przewagę ów nowo-przybyły wywiérał na umyśle Zofii, i może czuł cokolwiek zazdrości widząc, z jak uprzedzającą czułością byli dla siebie. Na uprzejme oświadczenia Korybuta dość był oziębły; choć z resztą starzec trzymał się zawsze w obrębach wyrachowanéj powagi, i więcéj był badawczym niż wylewającym się w rozmowie. To też najwięcéj gniewało Ludwika; od czasu zmiany swego losu największy wstręt miał, gdy mu przyszło spomnieć niekiedy o swéj przeszłości. Częstokroć w toku pogadanki, najlepiéj ożywionéj, przytoczenie jakiego wypadku, słówko rzucone nawiasem, psuły mu najweselszy humor; każdy też, kto umiał głębiéj czytać, byłby dostrzegł, że dusza jego miała dotkliwe struny, których nie można było trącić, nawet choćby przypadkiem, bez wyciśnięcia bolesnego, rozdziérającego jęku.

Można się dorozumieć, iż na zapytania nie wprost czynione mu przez Korybuta, musiał zwięźle i dość opryskliwie odpowiadać, aby go drugi raz nie zagadywał. W rzeczy saméj odtąd starzec unikał podobnych badań, lecz za to tajemnym wpływem swoim tyle musiał dokazać na pannie Gordon, iż coraz mniej z nim była otwartą i czułą. Ludwik niespokojny, żądał od niéj objaśnienia, lecz nic innego nie otrzymał, tylko słowa ucięte i łzy. Tak właśnie rzeczy stały, gdy między młodzieńcem, a Korybutem przyszło do rozmowy, o któréj namieniliśmy wyżéj.

IV.

Gdy wieczór nadszedł, Zorian zastał pannę Gordon w sali, gdzie się zwykle zbiérało grono kąpiących się. Oddał jéj ukłon i usiadł na przeciwnym końcu koło pani Bonar. Nie mógł on żadną miarą przebaczyć Zofii ślepéj téj uległości Korybutowi, którego nie nawidził. Jakaż być może przyczyna, że się mu z duszą i ciałem powierza? Jestto podległość zbyt trwożna, aby się opiérała na saméj tylko przyjaźni, zbyt tkliwa, aby nią władała bojaźń. Jakaś widoczna we wszystkiém tajemnica. Co zaś do nikczemnych przypuszczeń, na jakie się wysiłały złośliwe języki kobiet, o tych się Ludwikowi ani marzyło; Zofija aż nadto odsłoniła mu tajnie swojego serca, aby tak dalece mógł ją zapoznać. Zajrzał on w głąb jéj duszy, i widział do dna jak w czystéj krynicy. Nieskażoność bywa czasem tak widoczną, czysta niewinność tak świętą, że w ich obecności nawet wątpienie powstać nie może; patrzysz na nie jak na słońce, i ani ci przez myśl przejdzie ich bytności zaprzeczyć; charaktery, których wartość wewnętrzna jest podejrzaną, te tylko wzniecają niepewność, i wtedy obudza się jakiś instynkt, który cię od nich odpycha. Podobieństwo podejrzenia pierwszą też jest karą, jaką ponosi cnota wątpliwa.

Pani Bonar nie posiadając się z radości i zdziwienia, że Zorian zajął miejsce między nią a córką, niczego nie szczędziła, aby się mu podobać. Rozmowa jéj była jakto mówią z różnéj beczki, to natraciła coś o swoim pradziadku Żupniku wielickim, to o pięknościach okolic Krakowa, to o malarstwie, w reszcie coś o swojéj córce, ale żadną miarą nie mogła ożywić pogadanki. Ludwik zniecierpliwiony ciągłém jéj szczebiotaniem i leniwy do odpowiedzi, wyjął swój imionnik i zaczął w nim coś od niechcenia rysować; ale ciągle oczy jego i myśli zwracały się mimowolnie ku oddalonéj stronie sali, gdzie siedziała panna Gordon. Nakoniec nie mogąc znieść, że Zofija nie stara się go zbliżyć do siebie, odrzucił imionnik i wielkiemi kroki zaczął się przechadzać.

Pani Bonar, spodziéwając się go przyciągnąć, otworzyła imionnik i zaczęła się unosić nad jakimeś widokiem z okolic Neapolu; lecz postrzegłszy, że jéj wykrzyki nie skutkują, i że Zorian ciągle się przechadza, podała swéj sąsiadce książkę, która obiegłszy z rąk do rąk całe grono, przyszła do panny Gordon. Chociaż imionnik był jéj dobrze znany, wszelako zaczęła kartki przewracać, mniéj dla rysunków, więcéj aby mieć przed oczyma jaką robotę Ludwika. Tak przebiegając całą książkę, machinalnie zatrzymała się nad szkicą dzikiego jakiegoś krajobrazu. Korybut, który obok niéj siedział, zdał się być zdziwiony widokiem tego rysunku.

»Ach! to figura pod Świętym Krzyżem!« zawołał.

Zorian stojący o kilka kroków obrócił się nagle z konwulsyjném drzeniem: »Któż to panu powiedział?« zapytał z niechęcią.

»U spodu taki jest podpis,« odrzekła łagodnie Zofia.

»To zapewne pomyłka; to nie jest widok z pod Śgo Krzyża; ja nawet nie znam Śgo Krzyża.«

I wziąwszy z rąk jéj imionnik, spoglądał na ten rysunek: »Widok ten odrysowałem będąc w Szwajcaryi;« i wydarł kartkę i pomiął w rękach ze źle stłumionym gniewem... Korybut na to wszystko poglądał ze zdziwieniem. Zdało się, jakoby ta scena obudzała w nim osobliwe jakieś spomnienie. Z razu chciał pytać Zoriana, potém niby odstępując zamiaru, oddalił się zamyślony.

Dwa dni upłynęło, a położenie dwojga kochanków nie zmieniło się w niczém. Ludwik obrażony w swéj dumie, czekał póki Zofia piérwszego nie zrobi kroku, aby się zbliżyć jak dawniéj. Ona ze swéj strony również pragnęła przywrócić harmoniję;

lecz surowa konieczność wstrzymywała ją. Rzecz była jasna, że jakaś tajemnica wmieszała się między kochanków i trzymała ich w rozłączeniu; albowiem skrytość jaka, posiadana wspólnie, jest rodzajem węzła, który dwa serca spaja ze sobą na zawsze; lecz posiadana osobno, staje się zaporą, któréj sama miłość nie zdoła przełamać. Takie więc stosunki Ludwika do Zosii Bóg wié jak długo mogły się były przeciągnąć, gdyby nadspodziewany przypadek nie był im w pomoc pospieszył.

Pewnego wieczora, gdy Ludwik powrócił z przechadzki po górach, zmęczony i zbiegany, wszedł do wielkiéj sali i oparł się na oknie. Noc zaczęła się spuszczać w dolinę, tylko na wierzchołki gór i lasów padał jaskrawy odbłask zachodzącego słońca; wzrok jego topił się w tym czarownym widoku, a umysł artysty jak ten ruchomy promień skakał z góry na górę, z obłoku na obłok. W tém głos dobrze znany wyrwał go z téj zadumy, rzucił spojrzenie w głąb sali i postrzegł na drugim jéj rogu Zofię z Korybutem. Ona siedziała trzymając w ręku list, który zdawała się czytać z wielkiém rozczuleniem. Łzy długim ruczajem spływały po jéj rozognioném licu, i co chwila wykrzyk przerywał czytanie. Widok ten sprawił na Ludwiku niepojęty jakiś skutek. Zapominając o wszystkiém co zaszło, żywo poskoczył ku Zofii, wymawiając jéj imię. Wzrok Korybuta wstrzymał go; lecz ona widziała uniesienie młodzieńca, ona go zrozumiała, i podała mu rękę. Zorian, uradowany, ujął tę rękę i ucałował; potém przypominając sobie obecność starca, zarumienił się i oddawszy uprzejmy ukłon, zawołał:

»Przebacz panno Gordon; lecz widząc, jak byłaś wzruszoną, nie byłem panem mego uniesienia; obawiałem się, czy może jakie nieszczęście...«

»Och! nie panie Zorian,« odpowiedziała głosem drżącym, »list ten wcale nie smutny; płakałam z radości.« I spoglądała na Korybuta, jakby szukając przyprawdzenia słow swoich: »Ten list pomyślny, nie prawdaż zacny przyjacielu?«

Starzec skinął głową i uśmiéchnął się. Tu nastała chwila milczenia, w ciągu któréj kochankowie stali na przeciw siebie, pomieszani, ze spuszczonémi oczyma. Trzecia osoba zdawała się uczuwać, że jéj obecność w tym razie byłaby okrucieństwem. Rzuciwszy na nich wzrokiem, gdzie się przebijało słodkie współczucie, wziął list z rąk Zofii i wyszedł, żegnając po przyjacielsku Zoriana.

Kochankowie ujrzawszy się samotni, jakby ich razem coś tknęło, wyciągnęli ku sobie ramiona, i Ludwik usiadł obok zapłakanéj dziewczyny.

»Och! jakże dawno,« mówiła, »jakeś tak siedział przy mnie.«

»Było mnie zawołać Zosio! jam tylko czekał twojego skinienia.«

»I mogłażem to uczynić, mój Boże!«

»Któż ci bronił?«

»Nie pytaj mię, o nic nie pytaj: dziś niech się oddam saméj radości. Czyż nie dość, że mię widzisz szczęśliwą?«

»A krople łez wiszą na twym uśmiéchu.«

»Nie otrę ich, niech zostaną Ludwiku, zbyt one słodkie dla mnie; i lubię czuć jak mi płyną po twarzy. Lękam się, aby radość moja nie oschła wraz z niemi.«

»Och! starajmy się, aby nigdy nic podobnego nie zaszło między mną a tobą, czuję, żebym żyć nie mógł w takim stanie.«

»A ja czyżbym mogła?«

»Czemuż nie unikać nam tych przeciwności, tych chmurek, które tylko rozjątrzają serce? Ty wiész Zosio, ile cię kocham, chciałażbyś ręce swoje na zawsze w moich, tak jak teraz zostawić?«

Ona spłonęła rumieńcem i zadrzała, a wzniosłszy na niego oczy omdlewające miłością, ukryła czoło na ramieniu młodzieńca: »Ty wiész, jak tego pragnę,« rzekła po cichu.

»Czemuż zwlekamy nasze szczęście?«

»Nie pytasz czylim wolną; czyli osoby rządzące mym losem, nie mają dumniejszych dla mnie widoków, od których prędzéj czy poźniéj odstąpić muszą?«

»Toż jest zapora, która nas przedziela? Zapewnie krewni twoi pyszni z rodu i bogactw, gardzą tak nizkim związkiem.«

»Nie Ludwiku, nie mówiłam w téj myśli, mnie nic nie należało mówić. Zaklinam cię na wszystko, nie wywabiaj mię na słowa! Widzisz, że nie od siebie zależę!... Zaklinam cię, nie pytaj już o nic.«

»Tak chcesz, niech będzie,« rzekł z ujmującą uległością, »oddajmy się miłości bez rozumowań, a los niech z nami zrobi, co mu się podoba. Tylko mię nie opuszczaj Zosio, bo w samotności lękam się samego siebie. Twój Ludwik miewa napady ciężkiego smutku; bądź zawsze między mną, a moją myślą; jak chorego w szpitalu doglądaj mą duszę; tobie ten obowiązek tak przystoi, tobie, któréj tylko skrzydeł potrzeba, abyś była aniołem. Przystajeszże na to, powiedź aniele?«

»Dobrze, dobrze; na wszystko przystaję Ludwiku, tylko chciej być spokojnym i pogodnego czoła.«

»O, któżby tego nie chciał! przyrzekam ci, że wszystkich sił dołożę«

»I zbliżysz się do Korybuta,« błagała nieśmiało, »o przybliż się, przybliż do niego Ludwiku.«

»Sprobuję.«

»A twoja Zosia,« zawołała w radośném uniesieniu, »będzie modlić się, aby się nasze zamiary ziściły«.

Zorian przycisnął ją do serca, a składając na jéj czole pocałunek zmieszany ze łzami: »Módl się i za mnie!« zawołał. Dokończenie nastąpi.)

UWAGI PODRÓŻUJĄCEGO
O STANIE WIELU PAŃSTW
EUROPEJSKICH.
Przez Pawła Dercsényi.

(Ciąg dalszy.)

Bogactwo narodowe Wielkiéj Brytanii stosunkowo dopiéro w najnowszych czasach najwidoczniejsze zrobiło postępy. Skarb w dawniejszych wiekach w tak opłakanym był stanie, że pod Karolem II. musiano wstrzymać wypłatę długu państwa, wtedy tylko 1,328,526 funt. szt. wynoszącego. Ten dług państwa wzrósł roku 1763, przy zawarciu pokoju z Hiszpaniją, na 143 mil. funt. szt., a r. 1783, po stracie północno-amerykańskich osad, wynosił 240 mil. funt. szt. Roku 1801. drożyzna, podatki wszelkiego rodzaju i ów już 451 mil. wynoszący dług państwa, przyprowadziły naród angielski do stanu rozpaczy. Nareszcie r. 1815. pokonano Francyję po raz drugi, ale w końcu roku tego była Wielka Brytanija już obciążona długiem narodowym 792 mil. funt. szt., a licząc do tego skarbowy dług Irlandyi 127 mil. funt. szt., ogółem dług jéj wynosił 919 mil. funt. szt., to jest około 9190 mil. zr. m. k. Oprócz tego taxa na ubogich wynosiła rocznie 70 mil. zr. m. k. Nie wszędzie przytém były bite gościńce i tak n. p. na najważniejszém pasmie Anglii, z Londynu ku Irlandyi przez Waliję i Holyhead, nie było bitego gościńca. Kanały także nie były wtedy powszechnie zaprowadzone, gdyż do częstszego ich zakładania, ledwie na lat 50 przed tém, pierwszy książę Bridgewater kanałem swoim koło Liwerpolu dał popęd.

Do tych wszystkich okoliczności przydajmy jeszcze nieodzowne skutki tego bezprzykładnego zadłużenia państwa, przydajmy i to, że gdy ostatecznie zawarty pokój handlowi i przemysłowi tak odmienny nadawał kierunek, i przez to stawał się przyczyną wieloletnich przeszkód i nieprzyjemności, a przykre położenie kraju wzrastało jeszcze przez równoczesne uwolnienie od służby wielu tysięcy majtków i żołniérzy, łatwo pojmiemy, jak wtedy tylu, z resztą tak jasno rzeczy widzących mężów, przepowiadać mogło wkrótce zajść mające bankructwo Wielkiéj Brytanii i jak mogło w tak częstych niszczeniach machin przez robotników przy fabrykach wykonywanych, oraz w innych złych znakach onego czasu upatrywać zaród prędkiego rozprzężenia tak przemysłowych jakoteż handlowych stosunków.

Od téj epoki tylko 21 lat upłynęło, a długi państwa nadzwyczajnie się pomniejszyły; najuciążliwsze podatki bądź zniesiono, bądź pomniejszono; taxa na ubogich w przeciągu ostatnich lat kilku staje się co roku mniejszą o 20 milijonów zr. m. k. i jest nadzieja, że po upływie lat dwudziestu całkiem ustanie. Ludnośó stolicy powiększyła się o więcéj, jak o pół milijona, a w miastach fabrycznych przyrosłszy w progressyi jeometrycznéj, w wielu z nich sięga 100, 200 do 300,000 ludzi, znajdujących zarobek i dostateczne pracy swojéj wynagrodzenie. W Paisley koło Glasgowa, w więzieniu za długi, zeszłego sierpnia ani jeden dłużnik nie siedział, lubo Glasgow ma 100,000 fabrycznych robotników, licząc do tego i żywionych przez nich członków ich rodzin. (Obacz *Allgemeine Zeitung* z d. 7. sierpnia 1836.) Nowe miasta fabryczne ciągle, jakby mocą czarodziejską, powstają w najrozmaitszych częściach kraju. Najdoskonalsze gościńce, niezliczone kanały, przepysznie i trwale budowane mosty, 100 krótkich kolei żelaznych dla pojedyńczych kopalni węgli, przerzyna kraj we wszystkich kierunkach. Ostatni parlament usankcyjonował 33 bilów do zakładania większych kolei żelaznych, mimo tylu innych, na których budowę dawniejsze parlamenty zezwoliły, a li nad koleją żelazną między Londynem i Birminghamem pracuje dziennie jedynaście tysięcy ludzi. Na wszystkich kierunkach dostać można każdéj chwili najlepszego prywatnego pocztowego, jakoteż publicznego powozu (powozów zwanych *Mail* i *Steach*), a wszystkie na jednę godzinę, nawet po bardzo górzystych okolicach, przeszło dwie mile niemieckie odbywają. Na wszystkich rzékach i ze wszystkich wybrzeży można każdego czasu za pomocą statków parowych, prędką i tanią mieć przeprawę. Żegluga statkami parowemi tak nadzwyczajnie rozszerzoną zostaje, że np. teraz wiele okrętów budują, z których każdy dostanie machinę parową takiego ogromu, jakiego potrzeba będzie do przewożenia wielkiéj masy węgli kamiennych. Z tąd jest nadzieja, że zacząwszy od następnéj wiosny, żegluga do Ameryki, teraz prawie dni trzydzieści trwająca, na przyszłość w dniach ośmiu będzie mogła być wykonaną. Każde jakkolwiek małe miasteczko ma wygodne bruki, tanie oświetlenie gazem, ładne kościoły, dobrze urządzone domy zajézdne, czyste wygodne budynki, zgoła wszystkie niezaprzeczone znamiona dobrego bytu. Cała Anglija i Szkocyja przepełnione są szpitalami, naukowemi i edukacyjnemi domami, i zakładami użytecznemi wszelkiego rodzaju, które powstały i utrzymują się za pomocą składek dobrowolnych. Okazałe zamki z parkami, ładne pałacyki wiejskie z pełnemi smaku ogrodami, przyozdabiają, szczególnie samę Angliję, daleko liczniéj, jak każdy inny kraj europejski.

Przy domach zajézdnych na gościńcu i we włościach przed każdą prawie chatą, zastaniesz czysto-utrzymywany ogródek z kwiatami i porządną drogę do bramy; w każdém okienku ujrzysz kilka wazonków z kwiatami, a ta baczność na przedmioty szlachetniejszéj rozrywki niezbicie dowodzi, że w Anglii najniższa nawet klasa ludu rzeczami niezbędnemi do życia, wygodnie jest zaopatrzoną.

Te miłe obrazy przedstawia Anglija i Szkocyja każdemu podróżującemu, który stan tych krajów ze spokojną, wolną od przesądów bezstronnością, zbadać usiłuje. Że w politycznych walkach stronnictw objawia się tam osobista duma, samolubność i próżność z ich wszystkiemi występnemi skutkami, nie odbiéra to zasługi tak kwitnącemu z resztą stanowi narodu, ponieważ pomienione błędy właściwe są naturze ludzkiéj w ogóle, a szczególniéj Anglii, podczas gdy jéj dobre własności rzadko gdzie indziéj może tak są powszechnie rozgałęzione.

(Dokończenie nastąpi.)

LIPIŃSKI W WIÉDNIU.

Z dziennika: *Der Humorist.*

Przez M. G. Saphira.

I na skrzypcach toczy się walka romantyczności z klasycznością. Paganini przez swoję jenijalnie dziwotworną, wymyślną, urokliwą grę, stał się reprezentantem romantyczności. Lipiński jenijusz klasyczności. W nim owa wszelka, do prawego uświęcenia umnictwa tak niezbędnie potrzebna spokojność; w nim owa w sobie ukończona i dojrzało uzupełniona spokojność, która sama tylko jedna i cechą i kwiatem i owocem wszelkiego wewnętrznego udoskonalenia. W Paganinim zapominamy dla artysty o sztuce; w Lipińskim o artyście dla sztuki. Nad skrzypcami Paganiniego zdziwiamy się, skrzypce Lipińskiego kochamy. W skrzypcach Paganiniego mieszka wszelka ponęta kaprysów *udatnéj Włoszki;* ale śród fletowych westchnień odzywa się dzikie hasło Apeninów; nłudne jęki sinogarlicze rozdziéra ostro dźwięk szatański; z po nad żarem przepełnionych oczu, z wykonanego zadowolenia ściąga się gromo-nośna chmura brwi, *brawami* zaludniona; a pod najzalotniéjszym uśmiéchem łyskają weneckie sztylety. My to wszystko lubimy z trwogą, podziwiamy a drżeniem i śród wiru najsłodszych uniesień, jesteśmy jakimeś strachem zjęci. — W Lipińskiego skrzypcach mieszka przyjemność, mieszka wszystek urok umysłowego życia *nadobnéj Polki!* — W jego skrzypcach jest jéj świéża czystość, głęboka serdeczność, rozrzewniająca narodowość, jest uczucia szczérość, miękkość; jest słodka, lgnąca, błogiego lata łagodność; jest wzniosła, na dostatku sił swoich, na wewnętrzném uznaniu się swojém ugruntowana śmiałość. Paganini pokazał nam, co może pan i władzca; w jego ręku skrzypce mają przymioty *niewolnicy;* widzieliśmy do jakiego ona da się użyć *służalstwa;* jak ochoczo i z jaką powagą, nawet bolesne, krzywdzące ją wymysły i szały, mimo dziwotne drganie członków pana swego, z największą wykonywa uległością. Nigdym gry Paganiniego nie mógł słyszéć, abym zarazem i o chłoście zadanéj niewolniczym skrzypcom jego, nie pomyślał! Przeciwnie czyni Lipiński; on pokazuje nam, co czułe i kochające serce, co czysty rozum i mocna umysłowość zdoła, skoro swoją *kochanką duszy,* zawładnie! Do jak słodkich poświęceń, do jak serdecznéj tkliwości, do jak niebiańskiéj zgody, do jak rzewliwych uczuć, do jak niewysłowionych, pieściwych uwzajemnień, ręka miłości przywieść ją może. Nie chcę tu się zapuszczać w umniczo-naukowy rozbiór, nie chcę tu mówić o jego ukończonéj wprawie użycia najmniejszéj drobnostki do wielkiego celu sztuki; nic nie wspomnę o zwycięzkiém dążeniu ku *spiéwności,* którą tak dalece posuwa, iż najmniejsza nótka staje się słowikiem lub głosem z piersi człowieczéj; nic o jego olbrzymim wygłoszenia sposobie; nic o jego *adagio,* w którém się tęskliwe uczucia z pojękiem *eolskiéj arfy* szczebiotnie umawiają; nic o czarownych dwójno-wtornych przegonach przez wszystkie podziały, słogi, i rodzaje tonów; nic o zuchwałéj śmiałości w *flageoletach* i t. d.; to są szczególne wypadki pod sąd muzyków przynależne. Ja mówię tylko o porywającém wrażeniu, które ten związ wszelkiéj doskonałości, na uczucie, na ducha, na umysł estetyczny wywiéra. I rozkład *kompozycyi* Lipińskiego zostawiam innym referentom; niech oni w ocenę wezmą jéj dzielną samorodność, jéj spój mistrzowski; niech oni skreślą to głębokie znawstwo wyprowadzania zachwytnych skutków, tę zbawienną oględność w poskramianiu wzbujałéj fantazyi, i te wszystkie słodko-dźwięczne, miło-strojne stylu jego zwroty. Ja mówię o Lipińskim jako *całkowitym pojawie, jako umniczo-historyczném zdarzeniu.* — W Lipińskim pojawiło nam się umnictwo w swojéj świętéj, rodzimej, prawéj czystości, w kształcie, żadną wytwornością nie wykrzywionym i nieskalanym. Jego skrzypce, nie jestto sprężysta deska dla susów ciarlatana, jego smyk nie jesttó pręt czarnoksiężki arlekina, ani skoczek po linie, ani małp naśladowca! — Lipiński występuje skromnie, bez żadnego o sobie zarozumienia, bierze skrzypce, swoję smaglawą kochankę, do ręki; a jak ciągnie słońce po nad bór ze snu ocknięty, tak ciągnie łuk jego po strunach, a wszystkie w nich drzémiące duchy, wszystkie spiéwaki gajów przebudzają się; z drzącego drewna wychodzą pancérne tony, wyślizgują się najserdeczniejsze jęki; idą jak zbawienne duchy miłości, boleści, tęsknoty lub wykrzykującéj wesołości, i zaludniają nam tkliwie pierś i serce duchowémi istotami! on stoi skromnie i bez wymusu; on, wywabiacz zaklętych tonów, sam jeden spokojny w czarodziejskiém kole swoich uroczych dźwięków! Takim jest Lipiński.

Lipińskiego drugi koncert (jak donosiliśmy) odbył się d. 15. b. m. w wielkiéj sali redutowej i był zaszczycony obecnością obojga Najj. Cesarstwa Ichmość, Ich K. Mości Arcyksięcia Franciszka Karola, Arcyksięcia Karola i Arcyksiążąt Najj. Cesarskiego Domu.

— Ze Lwowa. —

U Piotra Pillera, nakładem tegoż, wychodzić będzie: *Galeryja litografowanych widoków, okolic i najznakomitszych zabytków Galicyi.* Obejmować będzie zbiór ten widoki najsławniejszych miast, miejsc, zamków, ruin i malowniczych okolic kraju naszego, ku czemu mianowicie Karpaty tyle wzorów nastręczają. Cztéry widoki składać będą jeden zeszyt, z textem w polskim i niemieckim języku, wyjaśniającym wszystkie historyczne, statystyczne, przemysłowe, topograficzne i przyrodo-historyczne daty. Pierwszy zeszyt już jest gotowy i zawiéra: 1) *Widok miasta Lwowa, wzięty od północnéj strony.* 2) *Widok głównego placu we Lwowie, wraz z nowym ratuszem.* 3) *Kościoł katedralnym we Lwowie.* 4) *Widok jednéj części Lwowa z plantacyjami ku krakowskiemu przedmieściu, wzięty z domu Penthera.*

W jednym z ostatnich numerów Tygodnika Petersburskiego czytamy nekrolog Wojciecha Narbutta, byłego marszałka lidzkiego powiatu, niegdyś sławionego ze swych obyczajów i urody, pazia króla Stanisława Augusta, z kolei kamerjunkiera, szambelana, potém posła lidzkiego powiatu na czteroletni sejm warszawski r. 1788, nakoniec marszałka tegoż powiatu w pamiętnem trzechleciu od r. 1812, zmarłego w Petersburgu d. 26. lutego r. b. Mąż ten unieśmiertelniony w pismach pani z Tańskich Hoffmanowéj (tom. III. str. 265), ostatni prawie świetnego dworu Stanisława Augusta zabytek, r. 1794

towarzysz podróży za granicę młodego księcia Adama Czartoryskiego, r. 1801, po oddaleniu się poety Karpińskiego, mentor młodości księcia Dominika Radziwiłła, zręczny niegdyś jezdziec na koniu, i nagrodzony za to od króla złotym medalem, lubił także zajmować się literaturą i ręczną rzeźbą, której misterne pamiątki przyozdobiły nie jednę w kraju kolekcyją. Zostawił w rękopismie wytłumaczone przez siebie po polsku dzieło francuzkie księdza Duquesne, w 8 tomach, pod tytułem: *Evangile medité*, a przy szczęśliwéj aż do końca życia pamięci, na żądanie przyjaciół, skreślił w zajmujący sposób ważniéjsze zdarzenia, tyczące się służby swojéj przy królu, którego pamięć z czułą zawsze uwielbiał wdzięcznością.

Najznakomitsi szeikowie arabscy z góry Libanu przysłali nie dawno poecie francuzkiemu Lamartinowi przepyszną szablę perską, przyłączywszy list, w którym upraszają poetę, co przed dwoma laty podróżując po Wschodzie, czas długi między nimi gościnności doznawał, ażeby on i ziomkowie jego ciągle zachowywali przyjaźń, okazywaną od dawna dla tego starożytnego plemienia Maronitów. Jeden z dzienników francuzkich umieścił koniec odpowiedzi, którą Maronitom przesłał ów znakomity piewca francuzki. »Oby Bóg (pisze Lamartine) dał wam wiek podeszły patryjarchów, których ziemię teraz zamieszkujecie, i oby pobłogosławił wasze święte góry, które noszą na swym szczycie cedr dwóch najdroższych ludziom od Boga udzielonych darów, religii i wolności!«

Posłowie królowéj madagaskarskiéj bardzo się nudzili w Paryżu i wielką nieprzyjemność sprawiały im teraźniejsze niepogody. Gdy oprowadzający ich po Paryżu przewodnik spytał ich razu jednego, coby nowego nazajutrz widzieć chcieli, odpowiedzieli: »Ach! słońce, jeżeli można.«

W Neuville sur Saone, koło Lugdunu, dzieci na dziedzińcu pewnego domu spuściły sznur do studni, dla przekonania się, jak jest głęboką. Lecz wydobycie go na powrót z trudnością im przychodziło, bo hak o coś ciężkiego się zaczepił. Zawołały o pomoc i wyciągnięto ogromną żelazną skrzynię, zawiérającą oprócz grubego zwoju papiérów familijnych, także znaczną ilość złotych pieniędzy z czasów Ludwika XIV., XV. i XVI., zupełny serwis stołowy z wyzłacanego srebra, duży, złoty łańcuch, dwa suto dyjamentami kameryzowane krzyże i kilka pierścieni brylantowych, z których jeden ma być rzadkiéj wartości. Zapewne skarb ten przechowany został r. 1793 przed chciwém okiem terrorystów, a właściciel lub pod gilotyną lub na wygnaniu umarł. Posiadłość sprzedano wtedy jako własność narodową. Teraźniejszy właściciel dziedzińca, dzieciom, które skarb ten odkryły, dał za to — surowe napomnienie, że przy wyciąganiu skrzyni sznur mu uszkodzono.

Podczas rozpraw w parlamencie angielskim jeden z nudnych mowców rozprawiał o dziejach żeglugi. Rozpoczął od arki Noego i chciał historyję żeglarstwa aż do naszych prowadzić czasów. Właśnie gdy był przy budowaniu sławnéj armady hiszpańskiéj, sir Gray Cooke obudził piérwszego ministra, który zasnął był przy téj mowie. Ten przeciérając oczy, zapytał: »Do któréj epoki doszedł szanowny mowca?« — »Do czasów królowéj Elżbiety.« — »O, kochany sir Gray,« odpowiedział minister, »mógłbyś mi był wćpan pozwolić spać jeszcze przez kilka wieków.«

Kilka pań założywszy w jednym z małych miasteczek Anglii towarzystwo wstrzemięźliwości, obchodziło nie dawno nader świetny tryumf. Na ostatnie ich posiedzenie, jako skruchą przejęty i pragnący poprawy pijak, stawił się niejaki p. Dexter, ostatni szczątek głośnego, pod imieniem *Royal Gins* znanego, klubu pijaków, założonego w Londynie r. 1817 przez aktora Edmunda Kean. Klub ten mógł liczyć tylko piętnastu członków, lecz chcąc być doń przypuszczonym, potrzeba było wykonać tak trudne próby sztuki pijackiéj, że z piętnastu członków już w piérwszym roku po swoim obiorze najmniéj ośmiu bądź umiérało z pijaństwa, bądź dostawało pomieszania zmysłów.

Lakoniczne listy. Pewien Anglik przybył raz przypadkiem do kawiarni, gdzie zastał znajomego kapitana okrętowego, który właśnie miał do Nowego Jorku odpłynąć i namawiał go, ażeby z nim jechał. Anglik przyjął wezwanie, wprzódy jednak napisał do swojéj żony: »Kochana żono! Odjéżdżam do Ameryki. Twój ..... i t. d.« Jeszcze był na lądzie, gdy otrzymał następującą, nie mnéj lakoniczną odpowiedź: »Kochany mężu! Szczęśliwéj drogi. Twoja... i t. d.«

Niczém życie bez pieniędzy. W pewném mieście zdarzył się nie dawno następujący szczególny przypadek: Bogaty ludzi nie ciérpiący skąpiec widział koniec swojego życia; otrzymawszy zapewnienie od lekarza, iż nie ma dlań żadnego ratunku, kazał przynieść ognia na fajerkę, oddalił obecnych i spalił majątek swój, składający się w 50.000 złr. w papiérach skarbowych. Potem poleciwszy Bogu duszę swoję, zamknął oczy i zasnął, mniemając że na wieki, ale bynajmniéj nie tak się stało; byłoto tylko przesilenie choroby i wzmocniony kilku-godzinnym snem do nowego przebudził się życia. Lekarz z radością ogłosił mu przyjście do zdrowia, ale skąpiec w godzinę poźniéj powiesił się na swieczniku, bo nie mógł przeżyć straty swojego majątku.

Przysługa źle przyjęta. Pewien jegomość chcąc pozyskać znaczny urząd przy dworze Zygmunta Augusta, udał się z prośbą o wstawienie do księcia Radziwiłła, jako wielki wpływ na osobie króla mającego; aby zaś sobie tego zobowiązał, wręczył mu skrypt, który, jak mówił, szczęśliwym trafem w jego się ręce dostał. Byłyto dowody, których jedynie brakowało Kmicie, aby się oczyścił z czynionych mu podówczas zarzutów. Gdy takowe Radziwiłł zobaczył, rzekł: »Zastępując pana, który te papiery sam wręczyć oskarżonemu powinieneś, odsyłam je w téj chwili memu przeciwnikowi; a jak pan o mnie i o moim sposobie myślenia sądziłeś, tak i ja o nim sądzić powinienem; żegnam.« (Zbiér.)

Fortepiany wynalazku Fr. Hoxy w Wiedniu, których wewnętrzne części miasto z drzewa z żelaza są robione. Fryderyk Hoxa, mistrz instrumentów (mieszkający w Wiédniu przy *Alleegasse* nr. 72), zrobił nowego rodzaju fortepian. Tenże co do postaci, formy i wielkości podobny jest do zwyczajnych, ma jednak tę własność, że zewnętrzne drewniane części jego mogą być rozebrane i odjęte. Pokrycie to jest jak futerał, można je zdjąć, a instrument aczkolwiek obnażony, ma wszelako najpełniejszy, najczystszy i najmocniejszy głos. Nie potrzeba także, ażeby ta pokrywa, jak dotąd, koniecznie z drzewa była, może być ze skóry, blachy, lub z czegokolwiek. Wszystkie części wewnętrzne, które dotąd u innych instrumentów są z drzewa, w tym nowym fortepianie są lane z żelaza. Tym sposobem tę osięga się korzyść, że taki instrument nie ulegając zwyczajnym wpływom powietrza, nie potrzebuje być tak często strojonym, i przez lata jedno strojenie wytrzyma. Co za dobrodziejstwo szczególnie dla osób na wsi mieszkających, gdzie tak trudno o stroiciela. Urządzenie klawiatury jest także prostsze i więcéj zamiarowi odpowiedne, a każdy klawisz można wyjąć z osobna, nie potrzebując wyciągać całéj klawiatury. Zresztą fortepian ten nie jest cięższy, jak dotychczasowe.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*